

Konstanty Wojciechowski

Utopia i satyra w ks. Krajewskiego "Wojciechu Zdarzyńskim" a Swifta "Podróże Guliwera"

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 6/1/4, 501-506

1907

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Utopia i satyra w ks. Krajewskiego „Wojciechu Zdarzyńskim“ a Swifta „Podróż Guliwera“.

Romans polski w XVIII. wieku połączony jest od najpierwszych początków bardzo licznymi i silnymi węzłami z romansem zagranicznym. Na „Przypadki Doświadczyńskiego“ obok autopsyi, pilnej czasami obserwacji stosunków i typów miejscowych, złożył się dziesiątek dzieł obcych¹⁾, naśladowca Krasickiego ks. Michał Krajewski, najpłodniejszy z powieściopisarzy z czasów Stanisława Augusta, zasilał nie mniej obficie wyobraźnię swą pomysłami czerpanymi u autorów zagranicznych.

Czytał ks. Krajewski wiele. Z lekturą jego zaznajomić się nie trudno, bo autorów znanych sobie cytował w tekście i przypiskach, czasem nawet wówczas, gdy książkę jakąś przeczytał wprawdzie, ale nic z niej nie przejął.

W „Wojciechu Zdarzyńskim“²⁾ wymienia Helwecyusza O rozumie (s. 4. i 137), Rabnera Satyry (s. 20), z autorów podróży banem: Charles'a, Roberta, d' Arlande'a, Pilastre'a de Rosier, Blanchard'a (s. 69), dalej Cyrana de Bergerac i podróże Wilkinsa (s. 73—74), de la Lande'a (s. 76 i 143), Przypadki Doświadczyńskiego (s. 80), Rok 2440 Mercier'a (s. 110, 118, 148), Woltera Kandyda (s. 177), wreszcie Podróż Guliwera (s. 185 i 193).

Nie wszystkich tych dzieł lektura odbiła się równie silnie na romansie naszego autora. Za Helwecyuszem na przykład lub Rabnerem powtórzył ks. Krajewski tylko pewne maksymy, z dzieła autora „L'an 2440“ przejął jedynie scenę, przedstawiającą ukaranie zbrodniarza, uwagi o „losie pomyślniejszym“ rozpustnych kobiet i o niebezpieczeństwie, wynikającym z tłoczenia się powozów na ulicach, z Kandyda opis wieczery, z autorów podróży balonem nic prócz samego pomysłu, z „Przypadków Doświadczyńskiego“ natomiast stosunkowo wiele, bo kompozycję romansu, pomysł obrazu przewrotnego wychowania, pomysł ucieczki bohatera za granicę z powodu długów, kilka rysów w sielance Sielańskiej, epilog i kilka uwag w Przedmowie (s. V. i VI-VII).

Najwięcej zawdzięczał Swiftowi. Ponieważ zaś autor ten wpływał na nasz romans i przed Krajewskim i po nim i pożądanąby była praca, omawiająca oddziaływanie satyry Swifta na nasze powieściopisarstwo, chciałyby notatką tą dorzucić cegiełkę do budowy — co prawda, dopiero oczekiwanej.

Wspomniałem, że kompozycję „Wojciecha Zdarzyńskiego“ przejął ks. Krajewski z historii o Doświadczyńskim. Logiczną czę-

¹⁾ Porównaj doskonałą pracę P. Mączewskiego: M. Doświadczyńskiego Przypadki, „Pamiętnik literacki“, III 1904.

²⁾ Tytuł pełny brzmi, jak wiadomo: „Wojciech Zdarzyński życie i przypadki swoje opisujący. W Warszawie, 1785“.

ścią pierwszą jest w Zdarzyńskim opowieść (w formie pamiętnika) o młodości bohatera, jego wychowaniu i hulaszczem życiu, aż do chwili ucieczki przed wierzycielami za granicę. To podobnie, jak cz. I. Doświadczyńskiego, romans obyczajowy, dla siebie zamknięta całość. Logiczną część drugą stanowi pobyt Zdarzyńskiego wśród idealnego ludu Sielan. To znów utopia, odpowiadająca sielance nipańskiej, z reminiscencyami z tej sielanki. Część trzecia wreszcie, to przygody pana Wojciecha w stolicy państwa Wabadu, mieście Modolu (Warszawie), i jego powrót do stron rodzinnych. W Doświadczyńskim odpowiednika satyry modolańskiej niema, ale jest u Swifta.

Wszelako już i w części drugiej romansu ks. Krajewskiego spotykamy się z reminiscencyami z podróży Guliwera: wszystko, co autor nasz mówi w tej części o nauce historii, filozofii, fizyki, matematyki, retoryki i w ogóle o zakresie wiedzy, przejął z większymi lub mniejszymi zmianami ze Swifta.

Zestawmy te miejsca:

„Historya — czytamy w W. Zdarzyńskim — jest u nich (Sielan) pamięcią ludzi cnotliwych, nie mającą w sobie tak nieprzerwanej genealogii, jak u nas, złych i dobrych monarchów... Jakież pożytek — mówił Satumo — przyniesie wam nauka, dochodząca charakteru waszych Tyberyuszów, Kaligulów, Neronów...? Cóż was lepszymi uczynić mogą okrucieństwa wojny, zabójstwa, nienawiści, podstępny, zdrady...?” (s. 134—5). U Swifta zaś: „Nauczyciele historii mniej starają się nauczyć uczniów swoich, w którym wieku, roku i miesiącu ten lub inny zaszedł wypadek, ale raczej malują im złe i dobre przymioty królów, ministrów, wodzów. Utrzymują, iż mniej ważnem jest wiedzieć, iż w tym a w tym roku albo miesiącu taka a taka była stoczona bitwa, jak uważać, wiele we wszystkich wiekach było ludzi okrutnych, niesprawiedliwych, na ludzką krew chciwych..., jak wielką niesławę na rodzaj ludzki ściągają wojny...” (Dodatek do Podróży do Lilliputu).

Zaznaczmy, że mimo analogii widoczna jednak i różnica w poglądach obu autorów: kiedy Swift chce przy nauce dziejów dawać wzory dla przykładu, ale i przez przedstawianie złego budzić odrazę, Krajewski pragnąłby posługiwać się wyłącznie metodą pozytywną. Obaj natomiast chcą z historii uczynić nie regestr zdarzeń, lecz wychowawczynię — i w tem są zgodni, czy raczej w tem jest autor nasz zawisły od Swifta.

Wyśmiewa ks. Krajewski kilkakrotnie filozofię szkolną, w szczególności dyalektykę, szydzi ze „sposobu zbiorowego i rozumowania” (s. 129), z sylogizmów: Barbara, Celarent... (s. 21, 38) i stara się wykazać, że filozofia ta jest dobrym środkiem ogłupiającym. Podobnie Swift: „Filozofia tego narodu (Lilliputów) jest bardzo wesoła i nie zależy na ergotyzmach, jak w naszych szkołach. Nie wiedzą, co to jest Baroco i Felapton, co kategorye, co rzecz sama,

a co znaki rzeczy i inne zawiłe w dyalektyce głupstwa, które nie więcej uczą rozumu, jak tańcu.“ (L. c.)

Zreformować pragnąłby ks. Krajewski również naukę fizyki i matematyki. Fizyka u Sielan ma wyłącznie cele praktyczne (s. 128), matematyki uczą się Sielanie, ale „bez ułamków dziesiętnych (!) i logarytmów, wstaw, stycznych i siecznych“ (s. 129-130). Tak, jak i Lillipuci, bo i ci „fizykę i matematykę tyle tylko szanują, ile te umiejętności do wygod życia i do wydoskonalenia pożytecznych wiadomości służyć mogą.“ (L. c.)

Oba też ludy gardzą retoryką. „W wymowie starają się Sielanie bardziej o myśli, niż słowa. Nie znają Antonomazji, Diasyzmu, Synekdochy...“ (s. 132), Lillipuci „nienawidzą przesady w mowie i wytworności w stylu, czy to w prozie, czy w wierszach.“ (L. c.)

Wiedzy ludzkiej, chęci zdobywania jej, ustanawiają obaj autorowie pewien kres, poza który jednostka wychodzić nie powinna. Gdy Zdarzyński, obaczywszy bibliotekę, złożoną z licznych dzieł różnego rodzaju, wyraził chęć zaznajomienia się z ich treścią, uśmiechnął się Satumo i rzekł: „Powiadałeś mi, iż macie takie domy, gdzie lekarstwa dla chorych tak są porządnie zestawione, jak podczas uczyły stół dla zbytkujących w potrawach. Gdyby który nie potrzebujący tych lekarstw, obaczywszy je, zawołał: O, jakbym był zdrow, gdybym zjadł to wszystko! Nie poczytałżebyś go za człowieka śmiesznego zdania?“ (s. 138—9). Rozumowania tego nauczył się Satumo od Swifta: „Miłości do nauk — pisze Swift — zakładają (Lillipuci) granice i chcą, ażeby każdy obierał sobie ten umiejętności rodzaj, który się bardziej zgadza z jego skłonnością i przymiotami. Tego, który się za wiele uczy, tyle szacują, ile tego, który wiele jada, będąc przekonani, iż rozum równie jak i ciało miewa swoje niestrawności.“ (L. c.)

Po za temi zapatrywaniem na wartość nauki i rozmaitych gałęzi wiedzy przejął ks. Krajewski w części II. romansu niewiele od Swifta. Należy tu ustęp o wynalazkach wojennych i pomysł stworzenia milicyi. Przyjaciół Zdarzyńskiego opowiada rządcy Satumo o sposobach wyrabiania prochu, bomb, kartaczy itp, oświadcza się z gotowością obznajomienia Sielan z tymi wynalazkami i — za to zostaje wygnany (s. 88—89); podobnie opowiada Guliwer królowi Brobdygnagu o użyteczności prochu, kul armatnich itd. i również podejmuje się nauczania „kilku poddanych Jego Król. Mości“ wyrzutu przyborów strzelniczych i narzędzi wojennych, a wówczas król pod karą śmierci zabrania mu choćby wspominać kiedykolwiek o tych okropnościach. (Podróż do Brobdygnagu i Podróż do Houyhnhnów). Mimo jednak takiego potępienia narzędzi wojennych przez naczelnych władców, tak Sielanie jak i mieszkańcy Brobdygnagu twożą w razie zatargów z sąsiadami milicyę i wojnę prowadzą. Jest w tem oczywiście pewna niekonsekwencja. Krajewski popełnia ją za wzorem mistrza.

Opis pobytu Zdarzyńskiego w Modolu jest po większej części

oryginalny, a jako satyra miejscami wcale udatny, czasem nawet dowcipny. Wchodząc np. do ogrodu modolskiego, spostrzegł pan Wojciech „kilka stad ptaków z wielkimi czubami i długimi ogonami“. Zdumiał się bardzo, bo ptaki były wzrostu niezwykle okazałego, i dopiero przyjaciel jego wytłumaczył mu to dziwo, objaśniając, „że to były damy tego kraju, które czuby i ogony czyniły podobnymi do ptaków“. Namiętnością Modolan jest teatr; niestety instytucja ta dziwnych używa sposobów, ażeby uszlachetnić spieszących do świątyni sztuki Młode panienki uczą się tam, „jak żona oszukuje zazrosnego męża, jak córka kocha się bez wiedzy rodziców“ itp. Młodzieńcy znów kształcą się w inny sposób — do ich uszlachetnienia służy balet. „Największa zaś umiejętność baletnic zależy na tem, aby, stojąc na jednej nodze, drugą zadzierały do góry: i pospolicie wtenczas im najmocniej klaskają, kiedy najwięcej zdają się wstyd obrażać“. Inny obrazek: młodzieniec modolański robi toaletę.. „Dwóch ludzi krzątało się koło jego włosów, trzeci mu twarz malował różnymi kolorami, czwarty, trzymając wa flaszeczkach zapachy na kształt wonnych wódek, których Fircykowie nasi używać zwykli, skrapiał to wszystko, co on brał na siebie, piąty wyścielał mu poduszkami łydki, szósty trzymał zwierciadło przed nim i podawał mu muszki, które on kładł na twarz, chociaż krost w tem miejscu nie było.“ (s. 167—8). Takich obrazków i rysów obyczajowych jest więcej w tej części III-ciej romansu, a ich żywość i wyrazistość dobrze świadczy o zmyśle obserwacyjnym i talencie satyrycznym autora. Obyczaj współczesny schwytyany w nich na gorącym uczynku.

Ale są i inne obrazy, wprawiające czytelnika w pewnego rodzaju zakłopotanie. Skąd one tu się wzięły? czy są także odbiciem rzeczywistości?

Poznaje się pan Wojciech z uczonymi modolskimi i zwiedza zakłady, w których pracują. Oto dom z napisem: „Tu się otwiera rozum“ — przybytek uczonych matematyków. Tam to powstają rozprawy o sekcyach konicznych, o kwadraturze cyrkułu itp. uczone traktaty, w których jednak nie o jasność wykładu chodzi, lecz o osobliwość (s. 185. in.). Inny dom z napisem: „Gwiazdy rządzą ludzkością“ jest siedzibą astronomów. I tu praca wre w najlepsze. Jeden z uczonych odkrywa, podczas pobytu Zdarzyńskiego w pracowni, nową planetę, bardzo osobliwą, bo „mającą pysk i ogon długi, cztery łapy“, a okrytą włosem! Niestety okazuje się, że tą nową planetą jest zdechła mysz w teleskopie.. Są i inne jeszcze domy poświęcone nauce, z napisami: „Skrytościom natury“ (tam badano zwierzęta, rośliny i kamienie — niestety mgła nie dozwalała nic widzieć), „Prawdzie i złotu“ (tam starano się w kotłach, alembikach i retortach zrobić drogocenny kruszec), „Zdrowiu ludzkiemu“... Ostatnia świątynia nauki mogła wszelako przerazić zwiedzającego, bo oto nad jedną z sal widniał napis: „Nikt stąd nazad nie wraca!“

Czytelnik jest zdumiony. Z jakich to instytucji naukowych w Polsce sztydzi autor, gdzie była ta nasza akademija umiejętności? Odpowiedź krótka — w „Podróżach Guliwera“. Cały ten rozdział XX. w romansie ks. Krajewskiego z opisem domów wiedzy jest parafrazą rozdziału V-tego Swifta „Podróży do Laputy, Balbinarbi, Luggnagu itd.“ Już sam tytuł owego ustępu u Swifta poucza, że on to poddał ks. Krajewskiemu cały pomysł, tytuł ów bowiem brzmi: „Autor dostaje pozwolenie oglądania wielkiej akademii w Lagado. Dokładny opis tejże akademii. — Nauki, któremi się profesorowie zajmują“. Oglądamy po kolei tych profesorów i podziwiamy przedmiot i metodę badań. Jeden pracuje nad projektem wyciągnięcia z ogórków promieni słonecznych, inni nad przedziwnymi wynalazkami mechanicznymi (astronom nad zegarem, któryby wskazywał odmiany wiatrów), inni oddają się zagadnieniom spekulacyjnym, inni doskonaleniu metody matematycznej. Uczni ci przedstawiają smutny widok. Jeden z nich „z wielką brodą i długimi włosami, ręce i twarz miał nadzwyczaj brudne, suknie zaś, koszula i ciało jego były jednego koloru“, inny miał „ręce i ubiór okryte plugaństwem“ itd. Tak i u ks. Krajewskiego. Autor zresztą wprost powołuje się na Swifta, mówiąc: „Rządca tej sali („Prawdzie i złotu“) wybladły, brudną twarz, ręce i suknie mający, nakształt owego, o którym czytałem w „Podróży Guliwera“, okropniejszy jeszcze czynił widok, niż jego Retorty i Rekurwy“ (s. 193.). Wprawdzie w innem miejscu (na początku rozdziału) pomieszcza ks. Krajewski w odsyłaczu uwagę: „Powróciwszy do kraju, czytałem opisanie podróży Guliwera. Czytelnik znający to pismo przyzna mi, iż między niem a mojem niema żadnego podobieństwa, oprócz prawdy, którą również, jak tamten historyk, starałem się zachować“ (s. 185), ale czytelnik widzi niestety zupełnie co innego, widzi, że autor przejął cały pomysł ze Swifta. Czasem ks. Krajewski posuwał się nawet dalej, niż jego pierwowzór, jak np. wówczas, gdy wyśmiewał matematykę teoretyczną. Kiedy bowiem Swift (jak na to zwrócił uwagę W. Scott) sztydził jedynie z ludzi, „którzy z powierzchownemi tylko znajomościami matematycznymi porywają się do tworzenia i wydoskonalenia planów mechanicznych, już to przez fantazyę, już przez obłąd umysłu“, Krajewski nie darował nawet stycznym, siecznym, parabolom, hyperbolom i logarytmom! Wszystko to według naszego autora — „dziwotwory“! (s. 186).

Czasem jednak poddał Swift ks. Krajewskiemu pomysł do satyry szczęśliwy. Tak było, gdy autor nasz gromił grzechy sądownictwa (s. 197. i n.), do czego zresztą obok „Podróży do Houyhnhn-mów“ mogły go pobudzić sceny trybunalskie w „Przypadkach Doświadczyńskiego“, tak również, gdy ubolewał nad zbytkiem Modolan w jedzeniu. Modolanie lubią potrawy wytworne, ale przyprawy do nich sprowadzają z obcych krajów o tysiące mil oddalonych od ojczyzny, płacąc w dodatku za te rzekome przysmaki grube sumy „obcym państwow“, „aby te więcej miały intraty na wojsko i gnę-

biły niem słabych sąsiadów“ (s. 178); nawet „między likworami nie było produktu krajowego“. . Szczególnie Modolanki rozmiłowane były we wszystkim, co cudzoziemskie...

Wiemy, że tak było w Polsce za Stanisława Augusta rzeczywiście, ale pomysł poruszenia tej sprawy poddała ks. Krajewskiemu Podróż do Houyhnhnmów. „Wysyłamy okręty — czytamy tam — i odprawiamy dalekie i niebezpieczne podróże na morzu dla opatrzenia się w różne mocne napoje i inne płyny, konieczne do tego potrzebne. Zapewniłem go (gospodarza), że najmniej trzy razy trzeba objechać naokoło kulę ziemską, nim jedna z naszych samiec znakomitych może mieć śniadanie...“

Jeśli jednak zestawimy miejsca, w których ks. Krajewski zaopozyczył się u Swifta, i zastanowimy się nad ich charakterem, przekonamy się, że większość ich ma wspólną cechę: chęć ośmieszenia nauk i uczonych. Autor nasz chciałby stosownie do hasła wieku uczynić nauki p o z y t e c z n e m i, a właśnie i u Swifta wszędzie na ustach jest praktyczność. Ale nieporozumienie między wzorem a naśladowcą widoczne. Kiedy bowiem Swift, że zacytuję znów słowa W. Skotta, pisząc satyrę swą, „występuje raczej przeciw nadużyciu umiejętności, aniżeli przeciw nim samym“, ks. Krajewski posuwa się — jak widzieliśmy — w zapale swym tak daleko, że nawet ułamkiem dziesiątym nie przepuszcza. Ośmieszając zaś akademię, nakreślona na wzór i podobieństwo akademii w Laputa, walczy z wiatrakami!

Lektura Podróży Guliwera nie wyszła tedy naszemu autorowi na dobre, wniosła w romans żywioł niedostrojony do całości przedmiotu, satyrę, gromiącą istotne grzechy pokolenia, zaprawiła bądź pewną naiwnością w pojmowaniu tego, co naprawić należy, bądź urojeniami.

Nie dziwny się jednak. Autorowie romansów polskich w wieku XVIII. sprawiają wogóle wrażenie barbarzyńców, chciwych na wszystko, co widzą u drugich, byleby tylko to „coś“ się świeciło. Przejmują więc prawie bez wyboru rozmaite motywy, sytuacje, środki techniczne i układają z tych wszystkich z radością pochwytyanych skarbów mozaikę. Że barwy się kłóć, że obok drogich kamieni znajdują się w niej także świecidełka, o to się nie troszczą. Nie ustrzegł się tej wady książkę biskup, nie zdołał uwolnić się od niej o wiele mniejszy od tamtego talentem ks. Krajewski. Ale praca ich nie poszła na marne. Obznajamiali czytelników z wszystkim, czem się chlubiła zagranica, wzbudzali ferment, dawali podniecie, a w ten sposób kładli podwalinę pod przyszłą budowę.

Dr. Konstanty Wojciechowski.

